NUMER 11. DNIA 16-go MARCA 1902 ROKU ROK X.

TYDZIEŃ

DODATEK

LITERACKO-NAUKOWY „KURJERA LWOWSKIEGO“

POD REDAKCJĄ BOLESŁAWA WYSŁOUCHA

KRWAWY POSIEW.

(W ROCZNICĘ WIOSNY NARODÓW).

Z krwi, co w bojach marcowych zakrzepła, z onej jutrzenki ludów, my wszyscy jesteśmy. Lat tyle, — przebrzmiałych haseł echa umilkły już dawno, nowe boje nawet przeszły ludów siedliska... a jednak...

Dusza się rwie do chwil onych rewolucji marcowej, co ze stosów barykad ulicznych zwiastowała ludów zbratanie. Czas to był taki złoty i wielki ta wiosna narodów, że w ślady ojców pójśćby się chciało... na barykady!

Ale nie maj barykad, ni wolnych sztandarów — ludzie nawet tamtejsi pomarli, a tylko widma wspomnień nie własnych wirują... a tylko na stole jedna z pamiątek czasów ówczesnych — rocznik krakowskiej „Jutrzenki“.

Było to pismo codzienne, wychodzące w r. 1848 w Krakowie pod redakcją Aleksandra Szukiewicza. Po wypadkach marcowych i zniesieniu cenzury, pism takich mnóstwo powstało w Galicji: zaczęło się życie wielkie, słońcem wolności promienne. Wychodziła więc „Jutrzenka“, organ partyjnie niezdecydowany, ale o barwie szlachecko rewolucyjnej, tak jak większość przeważna polskiej szlachty ówczesnej, dziennik pławiący się w morzu słońca marcowego i konstytucyjnych wolności.

Wiosna ludów minęła, a z nią razem, pod tchnieniem reakcji i „Jutrzenka“ zagasła, jak tyle innych jej siostrzyc. Dzisiaj ona to tylko stos gazet (trojakiego formatu, bo trzykroć „Jutrzenka“ kształt swój i wielkość zmieniała), plik wielki, na pół zbutwiały, mchem czasu zarosły.

Ale otworzyć jedną kartę i drugą, a buchnie z niej życie siłą nieprzepartą, szczęk oręża, gwar walki o wolność... aż dusza przylgnie do tych kart zbutwiałych, aż ogień z nich serce ogarnie płomieniem, z jedyną tylko refleksją:

Co za czasy, co za czasy!

Ze szpalt „Jutrzenki“ wybuchowo dobywa się siła, tak długo w sercach ludów tłumiona, wszystkie wahania i drogi ówczesnej duszy rewolucyjnej jasno stają przed oczyma — dzisiejszy czytelnik „Jutrzenki“ to tak jakby rok cały przeżył ówczesny, całą rewolucję, w zadrukowany papier zaklętą.

Pierwszy numer „Jutrzenki“ wyszedł dnia 21. marca r. 1848, a więc w kilka dni po wybuchu rewolucji we Wiedniu. W jednej chwili nowa epoka dziejów powstała, Metternich ustąpił, dawny biurokratyczny porządek prawny legł w gruzach, a praw nowych, ani konstytucji jeszcze nie było, tylko jej przeczucie bez określonych form prawnych, nawet bez ustawy drukowej. Więc też pierwszy i kilka następnych numerów „Jutrzenki“ noszą na czele charakterystyczny napis: „*Bez cenzury, przed ogłoszeniem praw o druku*“. Wolność prasy absolutna, niczem nie skrępowana, którą zaraz pierwszy wstępny artykuł wita entuzjastycznie i jakby niedowierzając szczęściu wielkiemu:

„więc już nam Ojczyzny nie trzeba nazywać krajem: języka ojczystego językiem krajowym? Boże wielki! dziękujemy Ci, my biedni dotąd literaci polscy, dziękujemy Ci ze łzami w oczach, na klęczkach, żeś nam doczekać dał tych złotych czasów...“

W następnych numerach chaos jeszcze i zamieszanie. — Sypią się okólniki tymczasowe z podpisem to cesarza Ferdynanda, to innych dostojników, odezwy obywatelskie, powrót amnestjonowanych więźniów politycznych, a z tego chaosu i wrażeń wyłania się już w siódmym numerze jedna myśl i jedno uczucie: „Polska zmartwychwstaje!“.

Trony zadrżały w swoich posadach. We Francji, w Berlinie, we Włoszech rewolucja, pod Miłosławiem stoi wojsko polskie, na sejmie w Frankfurcie stawia deputowany Reh wniosek nagły o odbudowanie Polski. Berlińczycy czerwono-białe kokardy przypięli, a wśród niemieckiej pieśni: „Noch ist Polen nicht verloren“ spływa na widownię Europy widmo Polski męczennicy, a ludy przed tym blaskiem klękają, czyste ludy, święta rewolucja.

I odtąd „kwestja polska“ nie schodzi ze szpalt „Jutrzenki“, a za nią kwestja druga uwłaszczenia włościan, a dalej usunięcie biurokracji austrjackiej, na której świeża jeszcze krew rzezi z roku 1846.

W tem trzask bomb i granatów, — to biurokracja z wojskiem poczęły konspirować przeciwko rządowi konstytucyjnemu. Dnia 26. kwietnia generał Castiglione przez dwie godziny bombardował Kraków, kilkadziesiąt ludzi padło na ulicach, „Jutrzenka“ przestała wychodzić.

Przyszedł na to patent konstytucyjny cesarza Ferdynanda, wraz ze stanem wyjątkowym dla Krakowa.

I już wtedy robak zgnilizny młodą toczyć począł konstytucję. Jeszcze wprawdzie we Lwowie i po miastach większych mnożą się gwardje narodowe, związki obywatelskie, ale już „Jutrzenka“, która po przerwie na nowo zaczyna wychodzić, coraz to częściej opisuje gwałty żołnierskie, biurokracja głowę podnosi i znowu jej tajne knowania wśród ludu wiejskiego wywołują widmo krwawej rzezi.

Wśród takiego nastroju przechodzą pierwsze wybory do parlamentu przy słabym udziale ludności. W samym Lwowie głosowało wszystkiego 232 osób, wybierając Florjana Ziemiałkowskiego, Marjana Dylewskiego i Leszka hr. Borkowskiego, w wielu mniejszych miejscowościach przy urnie wyborczej nikt się nie jawił.

Nawet ammestji cesarskiej nie szanowała biurokracja. Górala z Chochołowa, Jana Stercula, znanego z wypadków r. 1846, którego w czasie ogólnej amnestji wypuszczono na wolność, teraz znowu aresztowano i w kajdanach sprowadzono do Krakowa; komisarz Bassler w Tarnowie na nowo wprowadził cenzurę, deptano prawa zasadnicze, słowem, jak się wyraża „Jutrzenka“: „przywykli do samowolności i gwałtów urzędnicy, wzięli reskrypt ministerjalny za utwór jakiego młodego, wiedeńskiego poety i traktowali go, jak się w Austrji traktuje poezję, ze śmiechem i pogardą“.

W urzędowej „Gazecie lwowskiej“ pojawiały się artykuły, pisane przez wojskowych, z tych artykułów jeden p. t. „Chłop trzyma z nami“, podpisany przez „sztabsoficera“, wywołał dłuższą polemikę w „Jutrzence“ i innych pismach ówczesnych.

Równocześnie oddawano masami młodzież polską, pochodzącą z Królestwa, w ręce władz rosyjskich na męczeństwo i Sybir. Plama to na ówczesnej biurokracji obok rzezi r. 1846 najstraszniejsza.

„Jutrzenka“ czyni z tego powodu bardzo ciężkie zarzuty hrabiemu Agenorowi Gołuchowskiemu, stojącemu na czele przezydjum krajowego. Oskarża go, iż wydał polecenie, do krajshauptmanów, aby paraliżowali działalność sądów pokoju. Poczynało się do nich garnąć włościaństwo, więc „urzędy cyrkularne straciłyby sposobność utrzymywania go w ciągłej nienawiści do Polski“.

Pisze dalej „Jutrzenka“, co następuje: „Pan hrabia Gołuchowski w swoim rozkazie z dnia 24 czerwca 1848 r. do l. 8575, każe każdego, kto nie może wykazać się, że ma paszport do Galicji i że mu tu bawić wolno, natychmiast transportem za granicę oddać w ręce Rosji. Obawia się jedynie, aby Rosja ich przyjąć nie chciała, więc każe spisywać konstytuta jasne i dowodne, aby bez wszelkiej wątpliwości ich przyjmowano. Sumienniejsi od pana prezydenta, niektórzy krajshauptmany, po odebranym tym rozkazie przestrzegali naszych tułaczy dawniejszych, aby do Lwowa się udawali i tam siedzieli, bo tam nie będzie śmiał pan prezydent ich schwytać“.

Nawiązał nawet, jak powiada ,,Jutrzenka“, hr. Agenor Gołuchowski stosunki z ówczesnym gubernatorem Warszawy, okrutnym ks. Paskiewiczem, aby ten ułatwiał odbiór emigrantów na granicy.

W czasie tym zmieniła się już ,,Jutrzenka“ na wielki dziennik polityczny, a wiadomości było tyle, że co drugi dzień prawie okazywała się potrzeba wydawania nadzwyczajnego dodatku. Wojna we Włoszech, komuna w Paryżu, podziemne wiadomości o rewolucji w Petersburgu, ruch w księstwach naddunajskich, zwycięstwa Radetzky'ego, powstanie na Węgrzech, wszystko to wytwarzało gorączkę, atmosferę przesyconą elektrycznością.

A wśród tych wiadomości urasta nagle nazwisko bana Kroacji, Jellaczica, w kształty potworne nieledwie i fantastyczne. Wszyscy o nim mówią, nazwisko jego nadzieją przepełnia, a później strachem ogromnym, o ruchach wojsk jego i sojuszach fantastyczne biegną legendy. Kim był Jellaczic? Reprezentantem niby dążeń i postulatów ludów słowiańskich w Austrji, a równocześnie 700 Kroatów jego zapełniło pod Wiedniem nurty Dunaju, niby ,,czerwone bałwany“. Grozą rewolucji był ten Jellaczic, postrachem jej i jej katem zarazem, wtenczas kiedy wspólnie z Windischgraetzem Wiednia dobywał.

Nazwisko jego ze zgrozą wspomina ,,Jutrzenka“, śledząca z gorączką przebieg oblężenia wiedeńskiego. Całe kolumny wiadomości różnych o rewolucji wiedeńskiej przynosi swoim czytelnikom. Wiedeń upadł — nie! trzyma się jeszcze — gwardja narodowa walczy, generał Bem kieruje armatami — barykady, Kroaci pokotem — Windischgraetz się cofa — a w tem ,,Wiedeń zdał się na łaskę i niełaskę Windischgraetza“, sejm przeniesiony do Kromieryża, a na drugi dzień suchy i krótki trzask karabinów: Robert Blum, Edward Jełowicki, Edward Preschlern i Juljusz Froebel rozstrzelani — straszny Jellaczic tryumfuje!

Dnia 4. listopada 1848 r. wczesnym rankiem przyniósł do Krakowa kurjer wiadomość o bombardacji Lwowa przez Hammersteina...

Medjolan, Kraków, Wiedeń, Praga i Lwów... ,,każdy miesiąc z półrocza konstytucyjnej Austrji naznaczony jest krwawą plamą“ — woła ,,Jutrzenka“, a głos jej cichnie i niknie — jak ta zorza — wiosna narodów!

Fr. Jaworski.

DZIATWA WRZESIŃSKA.

W miesięczniku paryskim „*A l'assaut!*“ za miesiąc luty b. r., znajdujemy, oprócz wielu innych artykułów, odnoszących się do sprawy polskiej, wiersz p. Józefa Loubeta, jednego z najlepszych poetów prowansalskich, poświęcony dziatwie wrzesińskiej. Wiersz ten w tłómaczeniu opiewa:

„Mówiono, że przed tobą grób, a oto ze snu wstajesz znów; zbudził cię zgrozy dreszcz. Nie trwoży cię ni wrogów złość, ni tortur lęk, boś bohaterów ród. I dziatki twe z pogardą plwają w tyrana twarz, mowy i wiary bronią swej.

Więc pacholętom tym należna cześć. W nich lepszej przyszłości świt. Zuchwały wróg, dumny zbir, poskramiać chciał krwi zacnej żar, ale wy dzielne druhy wraz złączywszy z dłonią dłoń, odrzuciliście jarzma srom; w jednej godziny czas silny wasz głos, pozwał go przed ludów sąd. Tak mężna dziatwo czyń! Sztandaru ojców broń!

A gdy rodziców twych rzucono w ciemną kaźń, skuto w okowów stal, w oku mem błyszczy łza, dziecięta drogie me, bo widzę z wami wraz, jak sępy krążą tam, potworny kruk sierocą szarpie pierś, a zamiast matki czułych rąk brutalna pięść grozi wam.

Dziś tryumfuje moc, niewinnych płynie krew. Złych ludzi stopa depce wciąż na łanie piękny kłos, z kraju Irlandów, Boerów, Greków ten sam

dochodzi jęk. Czemuż Francji milczy ptak? Niedawno wołał: „Polsko żyj!" A teraz zamknął usta nam na wielką politykę wzgląd.

Ale nad tobą, Polsko, świta wiosny dzień. Gdy dzieci twe mowę ojczystą w pamięci czczą, choć im męczeństwa dokucza ból, choć u ich więzień wrót nieubłagany stoi kat, wierzaj, że blaskiem sławy okryją rany twe, gdyż od niewoli ciężkich bram, mowa ojczysta dzierży klucz!

Ach, jakże dziwny czar w mowie ojczystej tkwi! Na głos jej runą mury twierdz, kajdan ucichnie brzęk. Mowa ojczysta łamie spiż, jak wątły drewna pręt. To balsam serc, co zdala szlą westchnienia do rodzinnych strzech. To ptaszę, które z gniazdka nuci pieśń ożywczą dla posmutniałych ludzkich dusz. To złoty miecz! Silnie go Polsko dzierż, a nie zagrozi ci śmierć."

Piękne i pełne głębokiej myśli politycznej strofy prowansalskiego piewcy młodzież nasza niech zapisze sobie złotemi głoskami w pamięci. Może pomyśli któreś ze stowarzyszeń akademickich lub jakieś inne o tem, by poecie za pieśń tak serdeczną, przesłać w imieniu młodzieży polskiej zasłużone wyrazy uznania.

DR. B. DYBOWSKI.

O nowożytnej agalakcji u kobiet.

Od lat już wielu uskarżają się lekarze i ekonomiści stale na to, że pewna część matek, jedne dobrowolnie i lekkomyślnie, inne, zmuszone koniecznością fatalną swego fachowego zajęcia, unikają i usuwają się stanowczo przed obowiązkiem macierzyństwa, mianowicie od karmienia własną piersią swoich niemowląt. Do niedawna sądzono ogólnie, że narzekanie lekarzy było niesłuszne, bo twierdzono powszechnie, że ani organizm matek na tem nie cierpi, ani też organizm dziecka, przeciwnie utrzymywano nawet z wielu stron, że matki nie karmiące zachowują dłużej wygląd młodości, świeżość cery, bujność włosów etc. Z tej racji też utrwaliło się przekonanie, że kto ma pieniądze na najęcie mamki, niańki, na zakup mączek fabrykowanych, ten może sobie pozwolić na obejście prawa naturalnego, na usunięcie się od obowiązków społecznych i obowiązków względem dzieci swoich.

Były nawet zdania takie, że ponieważ człowiek kulturalny jest na wskróś sztucznym produktem cywilizacji, bo się odziewa w skóry cudze, karmi się sztucznie, gasi pragnienie sztucznie, obżera się i upija nienaturalnie etc., więc też może z czystem sumieniem karmić i niemowlęta swoje sposobami sztucznymi, używając surogatów fabrycznych, którymi zawalone zostały rynki europejskie i amerykańskie w ostatnich czasach. Na zapotrzebowanie wszechstronne powstały ogromne fabryki, produkujące truciznę dla niemowląt. Atoli powoli przekonywać się zaczęto, że zdania, powyżej przytoczone, są mylne, że szkodliwość karmienia sztucznego jest wielką, tak odnośnie do organizmu matek samych, jak też odnośnie i do organizmu niemowląt.

Co do tych ostatnich to stwierdzono, że: 1) śmiertelność dzieci nie karmionych u piersi własnych matek, lecz przy pośrednictwie mamek, jest większą, niż pomiędzy dziećmi, karmionemi przez matki same.

2) Przekonano się następnie, że dzieci, karmione mlekiem krowiem, nawet sterylizowanem, ulegają chorobom, które je zabijają w wieku niemowlęctwa, ale jeszcze gorzej rzecz się ma z karmieniem przy pomocy mączki; stąd prosty wniosek, że ani mleko mamki, ani mleko krowie, ani mączka sztuczna nie zastąpią nigdy mleka matczynego, w pełnem znaczeniu tego wyrazu. Może w przyszłości technika chemiczna potrafi wytworzyć taką mączkę, która będzie miała wszystkie właściwości mleka kobiecego, przeciętnego, ale i wtedy nawet nie uczyni ona zadość wszelkim wymaganiom, bo mleko prawie każdej rasy ludzkiej, prawie każdej rodziny jest inne, tak np. dzieci

europejczyków, karmione przez mamki chinki, umierają najczęściej.

Obok tego trzeba pamiętać o tem, że mleko matki zmienia się kolejno, w stosunku do wieku karmionego niemowlęcia, tych warunków ani mleko najętej mamki nie posiada, ani mączka sztuczna ich też nigdy posiadać nie będzie.

Lecz nie tylko, że sztuczne karmienie jest zabójcze dla niemowląt, wywiera ono wpływ fatalny na rozwój osobników w wieku późniejszym.

Co do samych matek, to szkodliwość niekarmienia objawia się najczęściej w następujący sposób;

Niekarmienie powoduje zanik gruczołów mlecznych, a wraz z tem i zanik powolny instynktów miłości do potomstwa.

Przykłady, czerpane ze świata zwierzęcego wykazują, że dzieciobójstwo, albo nawet dzieciożerstwo, bywają zwykle wykonywane przez osobniki, u których nastąpił bądź częściowy, bądź całkowity zanik gruczołów mlecznych.

Znany jest następnie fakt, obserwowany wśród ludności rosyjskiej, należącej do znanej sekty, noszącej miano „Skopców“, że już prosta amputacja gruczołów mlecznych, zabija całkowicie miłość macierzyńską. To też sądzę, że w społeczeństwach europejskich dzieciobójstwo musi być przeważnie, a może nawet wyłącznie wykonywane przez indywidua, cierpiące na zanik częściowy gruczołów mlecznych. Prawo dotąd nie badało tej kwestji, karało surowo, jak gdyby miało ze zdrowymi osobnikami do czynienia. Miłość rodzicielska jest przeważnie wykształconą wśród zwierząt z gromady ssawców, w innych gromadach zwierząt kręgowych widzimy tam głównie wykształconą troskę o los potomstwa, gdzie się wytwarzają organy zewnętrzne odpowiedne, te organy są wyrazem miłości macierzyńskiej, a ich ośrodki mieszczą się w mózgu. Z zanikiem jednych giną i drugie. Otóż wszędzie można konstatować fakt, że oba narządy stoją ze sobą w związku przyczynowym.

W dalszym ciągu zaznaczyć wypada, że osoby niekarmiące starzeją się wcześnie, tracą włosy na głowie, cierpią na psucie się zębów, na porowatość i łamliwość kości, zapadają często na chorobę gruczołów mlecznych, na nerwowość, histerję i w wielu wypadkach na pomięszanie zmysłów, a wszakże myślano dawniej, że niekarmienie przysparza właśnie zdrowia matkom.

Powiadają często ludzie, że istnieją takie kobiety, które, jakkolwiek nie karmiły same, chociażby mogły, a przytem są najidealniejszemi matkami; to oświadczenie nie przeczy założeniu naszemu, bo te kobiety widocznie nie podległy jeszcze zanikowi gruczołów mlecznych.

Prawo znane ogólnie twierdzi, że każda czynność uwarunkowaną jest odpowiednim narządem, a ten ma swój ośrodek mózgowy; zanik organu powoduje zanik ośrodka i vice versa; zniszczmy ośrodek myślenia, a przestaniemy myśleć, usuńmy myślenie, a zaniknie ośrodek myśli.

Niektórzy sądzą wszakże, że zatraciwszy instykt macierzyństwa potrafią ludzie zastąpić ten instynkt rozumem, czyli odziedziczonem doświadczeniem. Jest to to samo, co twierdzić, że straciwszy wzrok patrzeć i widzieć będziemy mogli rozumem.

Wraz z utratą instynktów macierzyństwa maleją i wszelkie instynkta altruistyczne.

Z tego, co się powiedziało, widzimy, że nie tylko dzieci, a więc potomstwo matek lekkomyślnych i próżnych, padają ofiarą zwyczajów nieszczęsnych, lecz że i same matki, wbrew zdaniom dawnym, cierpią wiele na tem, a nad to cierpi jeszcze i społeczeństwo. Co wszakże jeszcze bardziej pogarsza stan rzeczy — to ta okoliczność, że zanik gruczołów mlecznych i instynktów macierzyńskich staje się chorobą dziedziczną, przekazywaną z pokolenia w pokolenie.

Chorobę tę nazywają „agalakcją“, czyli bezmlecznością, albo „mastatrofją“, czyli zanikiem gruczołów mlecznych; można też byłoby ją nazwać zanikiem kobiecości.

Skoro raz tylko rozpocznie się zanik właściwości wskazanych, wtedy już każda okoliczność, nawet nieznaczna na pozór, przyśpiesza jego proces. Okoliczność, o której mowa, widzimy w barbarzyńskim zwyczaju noszenia sznurówek i gorsetów.

Taka moda datuje od czasów ascetyzmu religijnego wieków średnich i odtąd utrzymuje się stale, pomimo nawoływań lekarzy i higjenistów. Ucisk, działając albo bezpośrednio na całą powierzchnię gruczołów, albo wypierając je anormalnie do góry, sprowadza zanik bądź całkowity, bądź częściowy.

Choroba bezmleczności objęła dzisiaj szerokie koła, dotknięte nią zostały różne warstwy społeczne, a przeważnie kwiat inteligencji kobiecej.

Ażeby dać chociażby tylko przybliżone pojęcie o rozmiarach cierpienia rzeczonego, przytoczę tu następujące fakty:

Po wsiach liczą już co najmniej 25 procent matek, które nie karmią dzieci własną piersią, lecz mlekiem krowiem. Prawie 30% kobiet ma bardzo mało mleka, tak że wcześnie zaczynają one przykarmiać niemowlęta mlekiem krowiem. U większej części wieśniaczek, już po upływie pół roku od daty porodów, ustaje wydzielanie się mleka.

Bawiąc na Syberji, byłem nieraz świadkiem, jak kobiety, na pozór zdrowe, nie miały wcale mleka w piersi, i to niespełna w miesiąc po połogu, karmiły one zwykle niemowlęta, albo tak zwaną „tiulką“, czyli masłem świeżem, zmieszanem z ciastem, maczanem w mleku, albo karmiły je z różka mlekiem krowiem, mięszając je z własną śliną.

Spostrzeżenia tego samego rodzaju czyniłem w ziemi Nowogrodzkiej na Litwie, tu wieśniaczki młode i zdrowe tracą mleko bardzo prędko po porodach, rzadko która z nich karmi dziecko do roku, ale nawet u takich osobników wyjątkowych, mleko jest wodniste i wydzielane w bardzo małej ilości.

Lecz nie tylko na Syberji i na Litwie stan taki daje się obserwować, przeciwnie można powiedzieć, że choroba bezmleczności jest powszechną w Europie w niniejszej chwili, gdy dawniej nie zwracano na nią wcale uwagi.

I tak w klinice położniczej uniwersytetu w Gracu według prof. Ballinger'a, 60% kobiet nie może karmić niemowląt dla braku mleka.

W szpitalu położniczym we Freiburgu 54% matek mogły karmić niemowlęta tylko przez dwa dni pierwsze po odbytym połogu, poczem wydzielanie mleka ustawało całkowicie.

We Francji pono 80% kobiet z pomiędzy zamożniejszej ludności karmić własną piersią dzieci nie mogą.

Wymieniłem uprzednio, że główną przyczyną bezmleczności dziedzicznej jest dobrowolne albo przymusowe niekarmienie niemowląt, zaś poboczną, przyczyną jest moda noszenia sznurówek.

Atoli widzieliśmy także na przykładach, przywiedzionych powyżej, że bezmleczność sięga i po za sfery, gdzie te przyczyny są działające. Tak np. wieśniaczki na Syberji i na Litwie nie noszą sznurówek i chętnie karmią niemowlęta, a wszakże i one cierpią na bezmleczność, stąd wynika konieczność przyjęcia jakichś ogólniejszych przyczyn.

Zanim jednak do wykazania takich przyczyn przystąpię, wpierw przywiodę parę przykładów, które służyć mogą do uzasadnienia, albo do zrozumienia przyczyny suponowanej.

Za Bajkałem mieszka ludność, nosząca miano „Siemiejskich“. Są to „starowiercy“, zesłani przez carycę Katarzynę z zabranego kraju na Syberję. Mężczyźni i kobiety starowierców nie piją wódki i nie palą tytoniu. Niewiasty siemiejskie znane są w całej ziemi „*Zabajkalja*“, jako najlepsze mamki. Wszyscy gubernatorowie tamtejsi, tudzież wyżsi urzędnicy rossyjscy płacą bardzo drogo mamkom siemiejskim i biorą je do swoich dzieci. Żadna z nich jednak nie najmie się za mamkę, zanim nie odkarmi własnego dziecka, co trwa u nich zwykle półtora roku, pomimo to wszakże, mają i wtedy jeszcze tak obficie mleka, że delikatne niemowlę urzędnika, jak powiadają na Syberji, zalewa się mlekiem mamki.

Drugi przykład jest również pouczający. Burjatki mieszkające w jurtach koczowniczych na stepach zabajkalskich, są niezmiernie mleczne. Burjaci w tych okolicach nie piją wódki, bo jej tam niema, z powodu braku szynków na stepach daurskich.

Już w czasie, gdym bawił na Syberji, widząc z jednej strony bezmleczność u niewiast tej ludności, gdzie pijaństwo było nałogiem powszechnym, zaś z drugiej strony obfitość mleka w gruczołach sutkowych u kobiet, należących do ludności trzeźwej, przyszedłem był do przekonania, że musi istnieć zależność pomiędzy faktami wyżej przytoczonymi.

Że się nie omyliłem w swoim wniosku, mamy dowód najlepszy w świeżo wypowiedzianej hipotezie sławnego fizjologa bazylejskiego prof. Bunge'go.

Utrzymuje on, że córki ojców pijaków, a pijakami nazwać można każdego, kto się wciągnął w nałóg picia codziennie wódki, piwa i wina, są podległe chorobie zaniku gruczołów mlecznych. Rozpustę ojców karze Nemesis bezmlecznością córek i wnuczek i niedołęztwem fizycznem i moralnem synów i wnuków, więc dosyć, zdaje mi się, powodów do tego, ażeby na serjo pomyśleć o naprawie zła, wyrządzonego z lekkiem sercem przez niewiedzę naszą dotychczasową.

Bo dobrze było patrzeć obojętnem okiem na czynności pojedynczych osobników, albo całych warstw społecznych, gdy się nie wiedziało, że te czynności wywołują w potomstwie choroby dziedziczne, dzisiaj jednak zmusza wiedza nasza do obrony przyszłych pokoleń przed lekkomyślnością i nieoględnością ojców i matek.

Społeczeństwo amerykańskie chwyciło się środków radykalnych. I tak, w niektórych stanach Ameryki postanowiono mniszyć rozpustników i pijaków tak samo jak złoczyńców; to są środki dla nikczemnych, niepoprawnych egoistów. My w kraju naszym możemy działać tylko perswazją, wpływem, osobistym przykładem.

Powinniśmy tedy starać się o to, ażeby przekonać niewiasty nasze, że niekarmienie własną piersią niemowląt i noszenie sznurówek, są to przestępstwa, dokonywane na własnej osobie i na dzieciach własnych, a zarazem i na społeczeństwie. Że usunięcie się przed obowiązkiem matki, jest to dobrowolne wyrzekanie się najwyższego szczęścia na ziemi, jakie daje macierzyństwo, bo słusznie powiedział poeta, że:

„Tylko ta matka, co pieszcząc swe dziecię,
Z własnej mu piersi sączy życia trwanie,
Ta jedna matka zna tylko na świecie,
Co to jest szczęście, co to jest kochanie“.

Do tego dodać musimy, że możebne, upragnione i oczekiwane szczęście człowieka na ziemi, spoczywa w altruizmie. Egoista nigdy szczęścia nie zazna. Następnie powinniśmy przekonać naszych obywateli, że największą, najbardziej patrjotyczną czynnością z ich strony, byłoby zaniechanie używania trunków alkoholicznych i wyrzeczenie się rozpusty, tylko przykładem możemy oddziaływać na młodzież, bo gdzie nauczyciele i rodzice oddają się rozpuście i pijaństwu, tam młodzież nie może być trzeźwą i moralną, gdzie niewiasty mogą być w niebezpieczeństwie zatraty instynktów macierzyństwa, tam szczytne ideały poświęcenia upadać muszą koniecznie.

1) Słowianie w Niemczech.

(DIE SLAWEN IN DEUTSCHLAND)

Napisał Dr. Franz Tetzner. — Omówił Kazimierz Mokłowski.

„Lecz po narodach już wymordowanych
Jeszcze zostaje jakaś moc, przed którą
Ty musisz blednąć i ciągle Twe lica
Strupiałe nową krwią farbować musisz“.

Słowacki. „Lilla-Weneda“.

Jak cmentarzysko mordowanych ludów, jak trupiarnia narodów, wygląda książka p. Dra Franza Tetznera. Trzeba mieć żelazne nerwy, ażeby ją czytać spokojnie i kazać ją oceniać rozumowi, nie krwi wzburzonej. Autor, Franz Tetzner, ofiarowuje księgę przodkom' swoim. Z tych najdawniejszy z XIV. stulecia, radca w Chemnitz, Peter **Teczner**; ten z XVII. Paul Tezner, zaś ostatni „Freiheitskämpfer“, bojownik przeciw Napoleonowi o „wolność“ pruską mordowania narodów, to Johann August Tetzner. Tak panowie z Tęczyna połabiańskiego wygniatali z pisowni w swem nazwisku słowiańskie pochodzenie przez kilkaset lat, aż nareszcie wygnietli... Dziś dawny potomek Słowian spełnia ostatnią posługę grabarza, dobrze zapłaconego wobec umierających plemion, i pisze książkę o Słowianach. Dzięki mu i za to. Książkę opatrzyła przedmową firma nakładowa niemiecka panowie Friedrich Vieweg i Syn w Brunszwiku. Panowie ci widzą w książce Tetznera „przejrzyste przedstawienie tematu, który dla każdego wykształ-

conego Niemca w nowszych czasach nabrał szczególnej wagi“.

Mówmy o książce. Księga p. Tetznera, to duży tom, o 500 stronicach druku. Mieści zaś w sobie ,,przyczynki do znajomości Prusaków, Litwinów i Łotyszów, Czechów, Morawian i Serbów, Połabian i Słowińców, Kaszubów i Polaków“. Napisana jest płytko, ale sumiennie. Autor jeździł sam i to, co widział i zauważył, opisał. Jest więc w tem wiele materjału, jaki daje zwykle widz bezpośredni. Swoją drogą znać, że wobec niego te resztki słowiańskie zamykały często dusze swoje na cztery spusty. Materjał historyczny, opracowany co do ilości podanych źródeł w niektórych działach dobrze, w innych marnie. Najfatalniej wyglądają, jak zwyczajnie w książkach niemieckich tego rodzaju, filozofowania na „polityczne“ tematy, nie wybiegają bowiem po za tenor artykułu pierwszego lepszego pisemka prowincjonalnego, które pragnie mieć ,,wrogą dla Słowian“ opinję. Czasem, zauważywszy jeszcze gdzie przewagę nazw, lub obyczajów słowiańskich, nie może się powstrzymać od lekkiej w duchu prawowiernego państwowego Niemca popełnionej denuncjacyjki, czasem nawet daje wskazówki rządowi. W przedmowie naprzykład wyraża nadzieję, że „niemieckie prawodawstwo zajmie się raz temi wschodnio-niemieckimi miejscowościami i nie ścierpi słowiańskich głosek, nieuzasadnionych przeciągań i t. d.“ Słowem, silny i nieugięty w swojej ,,naukowej“ służbie pruski policjant. Ordynarności takie, zwyczajne zresztą w współczesnej kulturze umysłowej niemieckiej, nie czynią czytania przyjemniejszem, lecz raczej śmieszą, niż gniewają polskiego czytelnika. Przygnębiająco jedynie wpływają podawane fakty niemczenia. — To zalewanie ,,bajecznie kolorowego“ w podaniach, pieśniach, wierzeniach i strojach słowiańskiego życia przez pruską uniformową szarzyznę, to posuwanie się ciągłe jednostajnego, bezdźwięcznego szwargotu prowincjonalno-niemieckiego, działa z początku jak trucizna na duszę. Lecz potem, w miarę czytania dalszego, wydobywa się z grobów zmarłych braci plemiennych dla nas nauka coraz głośniejsza, wyraźniejsza, coś jakby doświadczenie, własną śmiercią okupione, a nam żywym przekazane. Taką jest książka p. Dr. Franza Tetznera w tem, co polskiemu czytelnikowi daje. — Zaczyna się od Prusów. Plemię, krewniacze Litwinom, dało po swojej śmierci nazwę owej bezimiennej rzeszy, która dzisiaj z Berlina wszystkim Niemcom rozkazuje. Historja jego, to wieczna walka z krzyżackiemi drużynami. Lecz nie zmordował ich oręż, ale zabiło życie chrześciańskie wyższe, którego formą była niemieckość. Prusak ponad wysoką, starą, przedchrześciańską kulturę nie wzniósł się. Kto szlachcic, kto pan, kto bogacz, szedł w niemieckie szeregi, zasilał krwią swoją niemieckie życie. Pruskiem jedynie zostało to uciemiężone szare życie chłopa. Od szarwarków „takich, jak od pokolenia nie znano“, czerwienią się karty współczesnych świadectw XVI. stulecia. Nie było się więc czego przywiązywać ani do owego rabskiego chłopskiego życia, ani do tej mowy z chłopskim jedynie bytem związanej.

Więc język starych Prusów umarł, a w roku 1700 pochowano do grobu ostatniego Prusa, który pacierz po swojemu umiał zmówić. Ponieważ z wyjątkiem niewielu śladów nic po języku starych Prusów nie zostało, więc uczeni niemieccy, a z nimi Franz Tetzner, żałują wielce, że owe stare plemię, podbite, zgwałcone, w niewolę wtrącone, a nawet po śmierci z nazwy swojej, na korzyść wroga obdarte, nie żyje bodaj w kilku użytecznych dla lingwistów egzemplarzach. Tak pośrednio przyznają dzisiejsi Niemcy, że na kulturze ogólno-ludzkiej, na poznaniu istoty człowieczeństwa, mści się barbarzyństwo, leżące w mordowaniu i wynaradawianiu plemion, a nie dopiero narodów. Więc p. Tetzner opisuje Prusów tak, jak ich dawne książki podają, a ponieważ tam nie jest również zbyt wiele, owoż na 23 stronnicy, kończy się omówienie ludu, „który dzisiejszym Prusakom, imienia swojego „pożyczył“. — Szerzej i dokładniej mówi się o Litwinach. Jeszcze bowiem po Prusach wschodnich, są wsie litewskie, jeszcze odwieczny, obrazowy język, nie zagasł razem z ogniskami, w kurnych chatach Litwy. Mapy załączone jednak i świadectwa naprowadzone mówią o niesłychanie szybkiem zjadaniu litewskiego języka, przez posuwających się naprzód, niemieckich „przyjaciół“. Bo przyjaciółmi Litwinów są konserwatyści niemieccy i przyjacielem ich jest Dr. Tetzner. Żal im się zrobiło, że nie mogą się pochwalić Prusakami, tak jak car rosyjski ostatnimi żubrami w puszczy Białowieskiej, więc pragną bodaj zachować Litwinów. ,,Jest to język szanowny, stary, „flexion reichste“ ze wszystkich języków indo-germańskich“. ,,Uczony językoznawca, pragnąłby tak hodować i pielęgno-

wać, jak Amerykanie swój park narodowy“. Cóż z tego, kiedy „z roku na rok obszar językowy litewski się zmniejsza“. Autor otacza więc Litwinów szczególną protekcją i jest za tem, aby w szkołach ludowych uczyć po litewsku w niższych klasach, a religji we wszystkich klasach. Aby usposobić niemieckiego czytelnika przyjaźnie dla Litwinów, przedstawia ich, jako wiernych „państwu i cesarzowi“. Za granicę rosyjską nie zerkają. „Jakiś narodowiec litewski (dobry mi narodowiec) w Ejdkunach, mówił mi: „Co nas może z tamtą granicą łączyć, gdzie mieszkają najciemniejsi ludzie na świecie“. Pan Tetzner jednak sam pojechał na Litwę rosyjską i przyszedł do błogiego przekonania, że ucisk caratu przygotuje Litwę, jak kucharz pieczeń ze zwierzyny, dla obszernego pruskiego żołądka. Mówiono mu tam, w starem litewskiem mieście stołecznem (Kownie?), pokazując znaki kupieckie, czerwono-czarno-białe: „To znaczy, że będziemy niezadługo pod Niemcem“.

Jedna rzecz tylko groźna, to sojusz Litwy z Polską. Naturalnie p. dr. Tetzner cytuje syrenie głosy prasy polskiej, wabiące Litwinów ku sobie i obiecujące im w zamian złote góry, jeśli Polska będzie niepodległą. Mądrzy Litwini nie dają się jednak brać na plewy, i nienawidzą swego „dziedzicznego wroga“ (str. 48). I „powód tego jasny“, Polacy bowiem wybrali Jagiełłę swoim królem, a „to zaszkodziło Litwinom“ (str. 49). Tak „naukowo“ poparłszy istnienie nienawiści do Polaków, rozwodzi się z drugiej strony nad przywiązaniem ludu litewskiego do cesarza niemieckiego i ojczyzny niemieckiej. „Prusko-litewski młodzieniec czuje się pruskim żołnierzem, o Krzyżakach zapomniał i o Witoldzie, ale żyją w nim wojny z Francuzami, od Fryderyka II aż do Wilhelma I i są opiewane w pieśniach“. Jedną z tych pieśni, odźwierciadlającą „właściwy Litwinom brak inicjatywy (!)“, autor daje w tłumaczeniu:

Ten francuski cesarz, to w ł a d c a r a b u s i ó w,
Król nasz pruski za to, to b o h a t e r w o j n y.
Ten Francuzów cesarz wojskiem się przechwala,
„Co na sztuki potnie was wszystkich do kupy“,
Lecz król pruski mówi na to swemu wojsku,
Niechaj Bóg rozstrzygnie, kto mieć szczęście będzie.

Przy ostatniem zdaniu, autor daje wykrzyknik, jako znak niezrozumienia przez siebie tej bierności wobec losu i Boga. Poza powyższemi politycznemi wycieczkami, zamieszcza dr. Tetzner rzeczowy przegląd dziejów literatury litewskiej, daje przysłowia, obrazy wierzeń i obyczajów, i naprawdę wartościowy dział, dotyczący życia gospodarczego, wiejskiego, gdzie liczne illustracje krzyżów, wizerunków, strojów i chat, wynagradzają w zupełności polskiemu czytelnikowi to, co stracił, śledząc humorystykę Niemca w polityce, który żywo wtedy przypomina owe typy z „Fliegende Blätter“ („Dumm san mir aber pfiffi san mir a“) — głupi to jesteśmy, ale sprytni też.

Ostatnimi, którym poświęca interesujący, bo niepolityczny rozdział, szanowny autor (któżby to dla 1196 Kurów wietrzył polską intrygę?), są Kurowie, a ściślej mówiąc, Łotysze, którzy, jako ubodzy rybacy, rozsiedli się na ławicy kurońskiej, tym długim języku, ciągnącym się niby kładką od Kranzu do Kłajpedy. Tam, w kilku wioskach odosobnionych, żyją i topnieją skromne rybacze drużyny, z Litwą blisko powiązane. Kilka wiosek, z których Nidden jest największą, tworzą ową resztkę łotewsko-fińskiego plemionka w cesarstwie niemieckiem. Barwny obraz rybactwa, mieszkań i obyczajów, z bezpośredniego zauważenia wzięty, upodabnia ogromnie życie tych Kurów do naszych polskich rybaków Kaszubów z półwyspu Helu, co sam autor kilkakrotnie zaznacza. Rysunki chat, strojów, krajobraz żuław piaszczystych, dopełniają interesujący rozdział. Po za materjałem więc etnicznym, żywemi i niezmiernie znamiennemi są jedynie uwagi o Litwinach. Pochwały im oddawane i wstawiania się do rządu za tem, aby język litewski do szkół niższych dopuścił wtedy, kiedy zaraza germanizacyjna dusi naród litewski i pokotem na trupowisko narodów kładzie, obok braci Prusów starych, nasuwa mimowoli na pamięć słowa Polelum w „Lilli-Wenedzie“ Słowackiego, rzucone w twarz zniemczonemu przez żonę Lechowi, który przynosi niewolnikom „życie“.

„Życie... o Boże... patrzaj na tych ludzi,
I pomyśl, jakim Ty dajesz stworzeniom
Chwilę tryumfu i urągowiska,
I przyszli, kiedy m ó j l u d c a ł y s k o n a ł
I przyszli, kiedy m ó j b r a t j u ż n i e ż y j e
I przyszli, kiedy n i e b o o ś w i e c o n e
Ł u n a m i s t o s ó w, g d z i e s i ę p a l ą t r u p y.
I tu mi dając życie. O stworzenia...
Czuję nad wami w sercu wielką litość
i wielką wzgardę...

Dziś Tetznerowie przynoszą życie... Litwinom.

JÓZEF JEDLICZ.

Na początku.

Był czas, kiedy sam trwałem w odmętach bez końca,
Wśród zawrotnych otchłani i ogłuchłych ciemnic,
Pełnych śmiertelnej nudy, trwogi i tajemnic:
Sam, bez tronów złocistych, gwiezdnych łun i słońca.

Okropny w swem sieroctwie był cichy mój Eden!
Potworna przemoc nocy, głuszy i martwoty
Tłumiła nimb mych skroni, pętała me loty —
I sam byłem w bezmiarach wieczystych, sam jeden.

A niemy demon mroków z otchłannej niziny
Spojrzał upiornem okiem grozy w mego lica
Otruchlały Majestat... I brakło rośliny,

By wyszeptała „Jesteś“ tchnieniem tajemniczem,
Gdy istność mą obłędna ścisnęła tęsknica,
Gdym w strasznych moich nocach był Wszystkiem i Niczem...

Dyskusja socjologiczna.

Towarzystwo prawnicze lwowskie urządziło w roku bieżącym serję odczytów z zakresu socjologji. Prof. Wł. Pilat miał odczyt o początkach socjologji, p. Lasota o Comcie i o Marxie, prof. Wł. Pilat o szkole organicznej w socjologji. W zeszły czwartek naznaczona była dyskusja, w której udział wzięli pp. Ludwik Kulczycki, Wł. Studnicki, Mańkowski, prof. Ochenkowski i prof. Wł. Pilat, który odpowiadał na zarzuty, czynione referentom. Pierwszy zabrał głos p. Ludwik Kulczycki.

Na wstępie zaznaczył, że Karol Marx i Fryderyk Engels urywkowo tylko uzasadniali teorję materjalizmu socjologicznego i dopiero uczniowie ich rozwinęli ją obszernie. Zdaniem mówcy, Plechanow uzasadniał ją z największym talentem.

Materjalizm socjologiczny pojmować można dwojako: szerzej i w sposób doktrynerski. Można więc uważać czynniki ekonomiczne za najważniejsze w życiu społecznem; twierdzić, że przystosowują one do siebie inne, choć nie absolutnie, jak n. p. prawne, etyczne, można też wszystkie zjawiska społeczne sprowadzać całkowicie do ekonomicznych, uważając stosunki prawne, prądy intelektualne i t. p. za ich obrazy tylko.

Mówca pojmuje materjalizm socjologiczny szerzej. W dalszym ciągu p. Kulczycki rozpatrywał zasadnicze typy społeczne, uzasadniając, że zależą one głównie od stosunków ekonomicznych i na poparcie swych twierdzeń przytaczał liczne fakty. Mówca zakończył pierwsze swe przemówienie twierdzeniem, że materjalizm socjologiczny nie jest niezbędnie związany z filozoficznym. Prof. Wł. Pilat wystąpił przeciwko temu ostatniemu twierdzeniu, dowodząc, że Marx i Engels byli też materjalistami filozoficznymi, chociaż pojęcia ich filozoficzne były tego rodzaju, że można byłoby ich nazwać, jak to uczynił prof. Masaryk, „kramarzami materjalizmu“. Następnie prof. Pilat podnosił znaczenie czynników etycznych w dziejach, uznając, że ruch etyczny w Anglji był jednym z głównych czynników jej prawodawstwa społecznego, chociaż przyznał, że impuls dał temu ruchowi klasowy ruch robotniczy.

P. Wł. Studnicki wystąpił z ogólną krytyką dotychczasowych referatów socjologicznych. Referenci, zdaniem mowcy, zajmowali się wykazaniem że contyzm, marksizm, szkoła organiczna w socjologji, zawierają błędy, ale pominęli to, że wszystkie te szkoły były etapami naszego naukowego myślenia. Cała nauka składa się ze szczebli, z których każdy zawiera błędy, ale wiedzie do tej obje-

ktywnej prawdy, do której dążymy, choć jej może nigdy nie osiągniemy. Zdaniem p. Studnickiego, należałoby wykazać, co która ze wspomnianych szkół socjologicznych pozostawiła w nauce, jakie pierwiastki przyjęła od uprzednich. Historję socjologji należy rozpoczynać od Platona i Arystotelesa, od tych dwóch wielkich przedstawicieli dwóch kierunków w socjologji: kierunku twórczości społecznej i konieczności dziejowej. Do pierwszego z tych kierunków należą encyklopedyści XVIII w.; socjaliści, utopiści, do drugiego szkoła historyczna w prawie Puchty-Sawigny'ego i socjologja organiczna. U Marxa spotykamy pogodzenie tych dwóch kierunków, w jego konieczności historycznej, różnej od konieczności przyrodniczej. W poglądach na materjalizm socjologiczny p. Studnicki zbliżał się do p. Kulczyckiego.

Prof. Ochenkowski uczynił uwagę, że trudno było zakres socjologji wyczerpać kilku odczytami, stąd powstały owe luki, na które wskazuje p. Studnicki.

P. L. Kulczycki zabrał głos powtórnie, zatrzymując się na znaczeniu czynników etycznych. Zdaniem mowcy, od najniższych form życia społecznego zauważyć można podwójną moralność w obec swoich i obcych: członkowie hordy pierwotnej postępowali inaczej wobec członków swej grupy, inaczej wobec członków hord innych. W społeczeństwach stanowych i klasowych ludzie kierowali się też podwójną etyką, jedna obowiązywała w stosunku do członków tejsamej grupy społecznej, druga członków innego.

Wyłamać się z pod wpływu etyki klasowej mogą tylko nieliczne jednostki wyjątkowe, ogół członków różnych warstw kieruje się etyką grupy, do której należy.

Nie mamy w historji żadnej reformy, mającej pierwszorzędne znaczenie, któraby przeprowadzoną została wyłącznie, lub głównie, pod wpływem czynników etycznych.

Większe systematy religijne, nie wyłączając chrześcijaństwa, przystosowywały się zawsze do instytucyj ekonomicznych państwowych.

W wyższych fazach rozwoju czynniki intelektualne odgrywają wyższą rolę, niż w niższych, same jednak idee powstają na tle pewnych form ekonomicznych.

Prof. Ochenkowski zaznaczył, że nie należy brać żadnego czynnika w wyosobnieniu, że izolacja może być tylko metodą pomocniczą, znajdującą zastosowanie w ciasnych granicach. Mówca powołuje się na swe prace z zakresu gospodarczych stosunków Anglji. W pracach tych miał on na celu wykazać, w jaki sposób dawne formy gospodarcze przeobraziły się w spółczesną towarową gospodarkę i badania nad źródłami dziejowemi doprowadziły go do wyników, że bez uwzględnienia czynników intelektualnych, uczuciowych, religji i prawodawstwa nie podobna objaśnić przeobrażeń ekonomicznych, jakie przeżywała Europa. Prof, Ochenkowski uważa, że pojęcie pierwotnej hordy jest całkiem zbyteczne w nauce, że nauka społeczna winna operować już społeczeństwem, t. j. grupą zorganizowaną, posiadającą prawa i instytucje.

P. Mańkowski dowodził, że istnieje analogja w rozwoju społeczeństwa i jednostki i występował przeciwko ekonomicznemu objaśnianiu dziejów.

W końcu jeszcze raz zabierał głos prof. Wł. Pilat odpowiadając na podniesione zarzuty, przyczem zaznaczył, że tak p. Kulczycki jak p. Studnicki przytaczali liczne przykłady, w których czynnik ekonomiczny był dominujący, jednak nie wskazali żadnej zasady ogólnej, na mocy której on winien być zawsze dominującym.

Stroje mieszczan trembowelskich.

Pięknie i poważnie ubierali się niegdyś mieszkańcy Trembowli, zwłaszcza zaś obywatele poważniejsi, powoływani do miejskich godności i urzędów. I tak czytamy w dawnych księgach radzieckich magistratu trembowelskiego pod rokiem 1748.: „Sławetny Jan Wyrozmuski, Landwójt trembowelski, zapisuje testamentem na rzecz synów swoich następujące suknie: Kontusz czarny, wyłogi hatłasowe, do niego żupan hatłasowy drugi; zaś kontusz oliwkowy, do którego żupan grodeturowy niebieski jasny; żupan karmazynowy, kontusz niebieski; pas perski przedni, drugi żółty z kwiatami; czapka z siwym barankiem“.

Liczne zapiski o przeprowadzonych taksacjach odzieży mieszczan podają wzmianki o kontuszach zielonych, seledynowych, lazurowych, futrem podszytych, papużastych, z sukna francuskiego, o jupach karmazynowych, kolorowych butach i czapkach, a dalej o „katanaszach białogłowskich“ granatowych, niebieskich, lazurowych, zdobnych sznurkiem zychowym.

Warto przytem zaznaczyć, że stroili się w ten sposób wszyscy mieszczanie bez różnicy narodowości, a notatka z r. 1722 świadczy, że nawet diak Hrehory nosił piękny kontusz niebieski.

Więcej charakterystycznymi są stroje kobiet, w których uderza osobliwie sposób zawijania głowy, przypominający zasłony kobiet tureckich. Rycina nasza przedstawia grupę mieszczan trembowelskich i uwidocznia znaczną rozmaitość męskich obok poważnych i cechowych strojów kobiecych. A dodać należy, że tylko starsze kobiety w Trembowli ubierają się jeszcze niekiedy w te charakterystyczne płaszcze sukienne o bardzo szerokich kołnierzach i klapach, zwane szlafrokami. Płaszcz zwykle jest czarny lub granatowy, obszyty dokoła szeroką taśmą, ozdobiony w pasie i koło



kieszeń żółtem szmuklerskiem wyszyciem, lub barankiem, kołnierz zaś i klapy wyłożone są siwym barankiem, czarnym aksamitem, lub morą jedwabną, najczęściej zieloną. Tak ubrana kobieta opasuje się jeszcze czerwonym pasem wełnianym ze złotymi frendzlami, związanym w jeden węzeł na przodzie.

Dzisiaj wyszły już z użycia owe piękne stroje, zaginęła nawet tradycja o dawnej ich wspaniałości.

Ubiór dzisiejszego mieszczanina albo nie różni się wcale od ubioru włościańskiego, albo jest marnem naśladownictwem kroju niemieckiego.

Czem raz rzadziej spotkać można kapotę, uszytą krojem czamarkowym o baryłkowatych guzikach i pętlicach, która jest jedynem w tym względzie ogniwem, łączącem przeszłość z teraźniejszością.

Młodsze mieszczanki wstydzą się pięknych strojów swoich matek, a liczba kobiet, ubierających się po dawnemu, zmniejsza się z każdym rokiem.

J. A. Beyger

STEFAN RYCERSKI.

PUŚCIZNA BRZESZCZA.

(C. d.)

Pani Teresa wybiegła na ganek zarumieniona radością, jak one.

Na bryczce siedział jej jedynak. Myślała, że stęskniony wyskoczy i rzuci jej się w objęcia. Tymczasem on stał na bryczce i dawał woźnicy jakieś rozporządzenia. Uczyniwszy to, dopiero wysiadł i zbliżył się do matki.

Ona, choć trochę zdziwiona, wpatrywała się w niego, jak wierny w obraz cudowny.

W ostatnich latach rozluźnił się tak dalece, choć nieznacznie, serdeczny stosunek pomiędzy matką a synem, iż w końcu zerwał się zupełnie. Podziałały na niego nowe wpływy, nowe otoczenie, nowi ludzie i on także się odmienił, stał się nowym człowiekiem. Ale pani Teresa nie miała o tem pojęcia. Była przekonana, iż syn powraca takim zupełnie, jakim wyjeżdżał i zacznie teraz wcielać w życie idee, o których tyle razy mówili.

— Dobry wieczór mamie — wyrzekł Ignaś, całując ją w rękę. — Nie mogli też po mnie pojechać powozem na kolej.

— Czy chory jesteś? — zawołała przerażona.

— Nie, cóż znowu, dla czegoż mam być chory?

Matka nie miała czasu wytłómaczyć powodu swych obaw, przypadły siostry. Jadzia uwiesiła się bratu na szyi, ściskała go z całych sił, wołając:

— Ignaś, Ignaś! Dopieroż to będzie szczęście. Nauczysz mnie jeździć konno. Prawda? Berwiś nie chciał, zawsze się obawiał, mówił, że spadnę.

— Dobrze, dobrze, tylko mnie nie uduś — odparł, starając się uwolnić z jej rąk. — Któż tak widział. Zgniotłaś mi krawat na nic. Aa! Marynia! jaka z niej śliczna panna — dodał, witając się.

W tej chwili nadszedł Berwicz, rozradowany także, sadząc od oficyny sążnistemi krokami.

— Ignaś! Ignaś! — wołał z rozkrzyżowanemi do uścisku ramionami. — Nareszcie! Stęskniliśmy się wszyscy.

Młody człowiek nie rzucił się w otwarte ramiona starego.

— Witam — wyrzekł, obojętnie podając mu rękę, jakby nie zauważył tego ruchu.

I zaraz dodał.

— Jak można było przysłać po mnie bryczkę. Nie ma powozu, czy co?

— Dla czegoż powóz. Czy, broń Boże, Ignaś chory? Trzeba było napisać.

Wymówka Ignasia nasunęła mu tę samą myśl, co matce.

— A to dobre — odparł nowo przybyły, wzruszając ramionami. — Alboż to tylko chorzy jeżdżą powozem. Wstyd mi prawdziwie było tej bryczki. Trzeba było widzieć, jaki ładny ekwipaż czekał na Bońskiego.

Berwicz zaczął się tłumaczyć.

— Teraz taka pilna robota, siewy, a do powozu trzeba zaprządz piątkę...

— Piątkę, czy szóstkę, cóż to znaczy. Zdaje mi się, że ja powinieniem być najpierwszy.

Rzuciwszy z naciskiem te słowa, Ignaś odwrócił się i wszedł do domu, gdzie już poprzedziła go matka, wołając, by prędko podawano posiłek, bo panicz musi być głodny.

Berwicz przez długą chwilę stał w miejscu oszołomiony, patrząc za Ignasiem, jakby oczom swoim nie dowierzał.

— Przemienili go, czy co? — wyrzekł półgłosem.

I chmurny już wolnym krokiem powrócił do swoich zajęć, mrucząc.

— Powinien być najpierwszy, no proszę. On najpierwszy.

W jadalnym pokoju stary Jan wnosił dymiące półmiski, Marynia zaparzała herbatę, Jadwisia stawiała przed bratem wszystkie przysmaki, jakie dom posiadał, a pani Teresa siedziała zapatrzona w jedynaka. Złożone ręce położyła na stole, jakby do modlitwy i nie mogła oczów od niego oderwać.

Ignaś uchodził za ładnego chłopca, choć wzrostem zaledwie dorównywał matce. Miał jednak tę pozorną dorodność, jaką darzy młodość. Podobnym był do ojca, miał jego rysy, ale brakło mu cech indywidualnych, nadających właściwe

piętno fizjognomji, które wyrabiają jej odrębność i nieraz czynią pięknemi stare twarze, choć matka-natura ukształtowała je po macoszemu. Miękim jego ustom brakło wyraźnych konturów, broda okrągła, nos rozlany, brwi słabo zarysowane, czoło wąskie, gładkie, bez wypukłości, nadawało mu pospolitą cechę. A twarzy tej nie ożywiały wcale piwne oczy, osadzone trochę na wierzchu i pozbawione wyrazu. Nie czyniły też one wcale wrażenia tradycyjnych zwierciadeł duszy, były to wprost narządy, służące do patrzenia.

Braki te jednak, dostrzegalne były tylko dla bystrego badacza. A ponieważ nad białem czołem Ignasia wiły się bujne jasne włosy, policzki miał świeże, usta malinowe ocieniał jedwabisty wąs, pielęgnowany starannie, dziwić się nie można, że uchodził za ładnego chłopca i już niejednej pannie wpadł w oko.

On sam zdawał się nie wątpić o swojej urodzie i widocznie starał się ją podnieść wykwintnym strojem, bo począwszy od żółtego kamasza, do szykownego krawatu, angielskich rękawiczek i podróżnego garnituru, wszystko na nim było wytworne, prosto z igły, doskonale zrobione, jak zwykle u ludzi, którzy do powierzchowności przywiązują niezmierną wagę.

Teraz, obsługiwany przez siostry, Ignaś zajadał z młodzieńczym apetytem, wybierał jednak starannie najsmaczniejsze kąski, a niekiedy krzywił się na niektóre potrawy i sposób ich podania. Gdy wreszcie zapalił cygaro i rozsiadł się wygodnie, popijając herbatę, odezwała się pani Teresa.

— Jakież to dla mnie szczęście, żeś wreszcie ukończył nauki, że masz dyplom.

— No, mam, mam, ale doprawdy nie pojmuję, czemu mamie o ten dyplom tak chodzi.

A widząc zdziwienie na jej twarzy, dodał.

— Bo ostatecznie, cóż on znaczy?

— Jakto co znaczy?

— Moja mamo, cóż mnie po dyplomie? Mnie.

— Jest dowodem ukończenia studjów. Daje ci prawa.

— Jakie tam prawa? Przecież miejsca szukać nie będę. Nikt mnie też nigdy o niego nie spyta.

— Spytałam ja.

— Bo mama czasem ma takie dziwne żądania — zaśmiał się Ignaś. — Czy mama myśli, że wszyscy ci, co chodzą na politechnikę, dostają dyplomy?

— To już ich rzecz. Ja uważam, iż kiedy kto wybiera zawód i sposobi się do niego, powinien ukończyć studja, jeśli przemożne okoliczności nie staną mu w poprzek.

— Ah! moja mamo, nie mówię o studjach, ale o dyplomie, to dobre dla tych, co muszą szukać sobie chleba, ale my?... Ani baron Boński, ani hrabia Brylewicz, ani książę Olsztyński, ani też nikt z bogatszej młodzieży, nie staje nawet do egzaminów. A nam to na co?

— Jakto?... — pytała zgorszona matka — Jeśli macie dawać taki przykład...

— Doprawdy mamo, w pewnym świecie to jest nawet źle widziane, po prostu śmieszne. To też co się ze mnie nażartowano. Przezywano mnie kowalem, mólem i już niewiem czem. Myślałem nawet, że przyjdzie z tego powodu do pojedynku. U nas o to nie trudno. Bo przyznaj sama...

Pani Teresa patrzała na syna zdumiona.

— Nie patrz-że tak na mnie mamo. Bądź spokojna. Nic się przecież nie stało. Ale powiedz, co by się dla nas zmieniło, gdybym nie miał dyplomu.

— Musiałabym przestać szanować syna — wyrzekła pani Teresa zmienionym głosem — gdyby przedemną skłamał.

Ignaś zaczerwieniał się po uszy, ale odparł szybko.

— No, mam go, mam, dostałem, zdałem te przeklęte egzamina. Ale zrobiłem to dla mamy, tylko dla mamy, bo tego żądała koniecznie. Niechże mama będzie spokojną, zaraz dyplom pokażę, jest w walizce. Wolno przecież powiedzieć, żem się niepotrzebnie namęczył.

— Nie — odparła poważnie — bo gdybyś uczynił, jak ci koledzy, o których wspomniałeś, musiałbyś wracać do Rygi i zdawać egzamina po wakacjach.

Fala krwi przeszła znowu po twarzy Ignasia.

— Musiałbym, powtórzył...

I nie dokończył.

— No, ale chwała Bogu nie pojadę. Widzisz mamo, zrobiłem, coś chciała, ale za to i ty także dla mnie coś zrobisz.

— Mój drogi chłopcze. Wiesz dobrze, iż zawsze uczynię, co tylko będę mogła? Czegoż ty chcesz?

Lista żądań Ignasia i rzeczy, jakie ułożył sobię, że na matce wymoże, była długa bardzo i tyczyła się radykalnej reformy stosunków domowych, odpowiedział więc dyplomatycznie.

— Pomówimy o tem mamo, pomówimy jeszcze. Teraz muszę się trochę rozejrzeć i rozgościć.

— Pójdę ci pomódz — zawołała Marynia, widząc, że idzie do pokoju, który zawsze zajmował w Malińcach. Pewno przywiozłeś dużo ciekawych książek.

— No tak, jest tam trochę.

— Pokażesz mi?

(C. d. n.)

Z PIŚMIENNICTWA i SZTUKI.

KSIĄŻKI. *Poezje.* Maciej Szukiewicz. Nakładem D. E. Friedleina. Kraków 1901. Książka ta odznacza się przedewszystkiem — okładką, czerwono obramowaną, na której widnieje świetna reprodukcja „Szkicu“ Jacka Malczewskiego, po raz pierwszy tutaj, o ile mi wiadomo, jako ilustrator występującego. Jest to rzecz wyjątkowo piękna — kolorystycznie, rysunkowo jednak i ideowo bardzo niejasno się tłumacząca. Tekst ozdobiony jest również przez Malczewskiego fragmentami znanego fryzu z nowego gmachu krakowskiego T. P. S. P. — P. Szukiewicz, znany już jako utalentowany dramaturg („Śnieg“, „Ułuda“, „Kwiat pleśni“ i przez dyrekcję teatru lwowskiego zapowiedziany „Arf“), zebrał po raz pierwszy w tym tomiku swoje do tej pory ogłoszone liryki, a zebrał je — z góry zaznaczyć się to musi — widocznie zbyt pospiesznie, byle tomik wypełnić. Tem jedynie tłumaczyć sobie można, że dostały się tu rzeczy albo zbyt jeszcze młodzieńcze, albo takie, które chyba tylko do „Chochoła“ by się nadawały („Polemika“, „Z uwag jowialnego ogrodnika“). W nastrój jednak wprost już komiczny wprawia na samym wstępie, pod wspólnym tytułem „Niegodnej“, na kilku stronicach zamieszczony szereg tytułów, jak: „Do...“, „Do...“, „Do...“, „Opuszczony“, „Pod pręgierz!“ i t. p., pod którymi następuje wiersz jeden, lub dwuwiersz, jak: „Pozazdrościłaś sławy Herostratom!“ — kropki, „Ty mnie nie pytaj, cudne dziewczę moje“ — kropki, „Wietrzno, mroźno i ponuro, twarz księżyca świeci blada“... — znowu kropki i t. d. Ten dziwny a niesmaczny pomysł usposabia odrazu niekorzystnie do całej książki — i do szczerości autora. Zapewnia on na wstępie, że:

„Jak Ruth biblijna, schylony nad rżysko,
Idę i zbieram pogubione ziarna —
O, jak-że często kark mi zgina nisko
Źdźbło śnieci pełne, albo plewa marna!“

na końcu zaś mówi: „Jeszcze me słowo śpi cicho we mnie“ — i w tym drugim przynajmniej wypadku stanowczo sam siebie zapoznaje. Jeżeli coś śpi w tych lirykach, to w każdym razie nie słowo, gdyż wiele z nich powstało tylko, jakto mówią, „aby gadać“, dla pięknego frazesu, porównania lub obrazu, nieraz dla samego tylko dźwięku lub gestu, który autorowi wydał się pięknym. Tytuł jednej z nich, „Emfaza“, powinienby był objąć znaczną część tych poezji. Ale, jeżeli pospiech, czy brak smaku, wprowadziły tu wiele rzeczy nie artystycznych i nie szczerych, to stanowczo znaczna większość ich lepiej świadczy o autorze. Piękna forma, język głównie, zdaje się, na Asnyku kształcony, niekiedy dużo nawet prawdziwego uczucia cechują takie rzeczy, jak: „Do poezji“, „Sanctus“, „Sezami“. „Sielanka“ i cały prawie cykl p. t.: „Smutek“; ładna jest w pomyśle i wykonaniu „Zakopiańska bajka“, a wiersz p. t. „Halucynacja“ i sonety „Z Tatr“, mają dużo siły w obrazowaniu. Znana ze sceny krakowskiej „baśń ludowa“ (wielkoruska?) p. t. „Śnieg“ (pierwotnie i właściwie „Śnieżniki“), choć pewnym dość konwencjonalnym owiana sentymentem, w całości, w czytaniu korzystniejsze, niż na scenie, wywołuje wrażenie. Niejasno wogóle i sztucznie zarysowuje się w tym tomiku indywidualność poetycka autora. Piękne słowo — to jeszcze nie poezja. — Wątpię też, czy „słowo“ spełnić w nim zdoła tę misję, której od niego żąda p. Szukiewicz, wołając: „Rzeźb potajemnie duszy mej martwe i twarde głazy i póty krusz je w drobne atomy, póty pędź je w wir i ruch, aż wstanie Duch!“ Ale może uczynić to jeszcze zdoła — życie?...

A. C.

*

Idea etyczno-społeczna w ostatnich powieściach Elizy Orzeszkowej, przez W. M. Kozłowskiego. Niewielka ta, bo niespełna 50 stronic obejmująca broszurka, jest dziełkiem bardzo znamienem dla scharakteryzowania tego, jak sobie głowy zdolne do myślenia czystego, dają radę z tem, co życie przynosi i co raptem staje w sprzeczności z tym jakimś systemem, wedle którego to życie zdało się biedz przez czas długi. Sam przedmiot książki, tj. idea etyczno-społeczna w powieściach Orzeszkowej, przedstawioną jest tu ze znajomością rzeczy taką, że wedle wskazówek p. Kozłowskiego, można się doskonale orjentować wśród zapatrywań etyczno-społecznych znakomitej powieścio pisarki. Orjentować się można tem łatwiej, że autor, przedstawiając ewolucję umysłową autorki „Nad Niemnem“, „Chama“, „Dwóch biegunów“, „Australczyka“ i „Argonautów“, zabiera wraz z nią głos i co do własnych zapatrywań na to, co się dzieje w świecie.

Naprzód więc rozróżnia p. Kozłowski dwie zasady kierownicze, t. j. zasadę wolności i konieczności. Pierwsza jest postulatem sztuki, druga — życia społecznego. W ślad za tem, możemy w życiu praktycznem obrać za przewo-

dnika, zasadę estetyczną lub etyczną, indywidualną i społeczną moralność. Po kilku stronicach wstępu historycznego o rozwoju obudwu tych zasad filozoficznego zapatrywania na życie, o wzajemnem ich zwalczaniu się, przechodzi p. Kozłowski do właściwego tematu i tu w szeregu postaci z ostatnich powieści Orzeszkowej przedstawia ideową walkę tej autorki z rozpanoszającym się w ostatnich czasach coraz to bardziej indywidualizmem. I tak, jak Orzeszkowa, w kreśleniu charakterów, w słowach dawanych bohaterom swym w usta, staje wyraźnie po stronie zaatakowanych współcześnie zasad altruizmu społecznego, tak i p. Kozłowski w kładzeniu nacisku na to, staje po tej stronie, co Orzeszkowa.

Chociaż więc książki tej nie można nazwać bezstronną w zwyczajnem tego słowa znaczeniu oceną przeprowadzenia myśli zasadniczej w powieściach Orzeszkowej, jest ona przecież bardzo pouczającą. Autor sam będąc przeciwnikiem dzisiejszych prądów anti-społecznych wypowiada z okazji powieści Orzeszkowej swoje zapatrywania i wyszukuje z wielkim zapałem argumentów na ich poparcie. Nie wyczerpuje tematu, ani jako sprawozdawca, ani jako filozof, często jest zbyt apodyktycznym, ale sporo dorzuca do tego fermentu, z którego ma się wyklarować prawda, choćby na jakiś czas.

S. W.

PISMA. *Chimera.* Czerwiec 1901. Nie ma chyba pisma, któreby pod względem punktualności obsługiwania swoich czytelników było bardziej wiernem kwalifikacjom swoim, zawartym w swej nazwie. Żeby w marcu 1902 wychodził zeszyt za czerwiec 1901, to chyba już dość chimeryczne. Ale komu punktualność w wychodzeniu czasopisma jest rzeczą drugorzędną, kto patrzy przedewszystkiem na treść, na jej obfitość i oryginalność, ten kamieniem na „Chimerę“ rzucić nie może. Ostatni numer jest zarówno urozmaiconym, jak i oryginalnym w doborze materjału, przy całej swojej wierności tzw. modernistycznym tradycjom.

Jedyne to, zresztą wyłącznie produkcji poświęcone pismo literackie, dzięki aspiracjom swego kierownika, p. Mirjama Przesmyckiego, zawsze okazywało skłonność do wygrzebywania tych zapomnianych, którzy to wśród swoich współczesnych odznaczali się oryginalnością i poszli w zapomnienie, dzięki niechęci tej ogromnej większości, której się nie podobali. Do takich należeli z naszych Norwid, z obcych zaś cały szereg większych i drobniejszych autorów. W ostatnim numerze znajdujemy dwa takie kopalne okazy: poemat o Fauście hiszpańskim „LicencjacieTorralba“ Ramona Campoamor, w tłum. A. Langego i pierwszy akt komedji Grabbego p. t.: „Żart, satyra, ironja, głębsze znaczenie“. Ten ostatni utwór jest znamiennym nietylko jako satyra na stosunki literackie w Niemczech w początkach XIX. stulecia, dająca się wybornie zastosować do stosunków dzisiejszych, ale i dla tego, że zapoznać się zeń można wogóle z odwieczną zawiścią miernot do wszystkiego, co niezależne i silne.

Oprócz tego zawiera ostatni numer „Chimery“ cykl wierszy p. t.: „Pieśni szaleńca“, w których p. Staff swoje literackie wątpliwości zamknął w szereg obrazów barwnych, satyrkę p. Lemańskiego p. t. „Nokturn“, figiel w stylu japońskim p. Reymonta p. t. „Żałośna historja o pękniętem sercu porcelanowem Komurasaki“ i dalszy ciąg powieści p. Barenta „Próchno“. Numer zamyka szereg sprawozdań, ocen, polemik ze wszystkimi rzeczywistymi i wyimaginowanymi wrogami „Chimery“. *S. W.*

NOTATKI. *Z powodu jubileuszu Gogola,* obchodzonego teraz w Rossji z okazji 50. rocznicy zgonu tego znakomitego satyryka społecznego, wydany został zbiór jego dzieł, a zarazem posypało się mnóstwo notat, wspomnień i okazyjnych życiorysów. Przyłączając się do wyrazów uznania dla wielkiego talentu i czci dla liberalnych przekonań Gogola zawartych np. w takich „Martwych duszach“, gdzie występował w obronie zgnębionego ludu, podnieść wypada, że oprócz tych wspólnych, ogólno ludzkich pragnień sprawiedliwości społecznej, łączyły Gogola z Polakami także wpływy pochodzenia.

Oto pochodził on z rodziny małoruskiej, osiadłej w gubernji połtawskiej, powiecie mirgorodzkim, której członkowie przez pewien czas, w trzech lub czterech pokoleniach, zaliczali się do szlachty polskiej i nosili nawet, obok rodowego, drugie, czysto-polskie nazwisko — Janowskich od imienia pradziada pisarza, Jana, zupełnie spolszczonego. Daleki przodek autora „Tarasa Bulby“, powieści z dziejów walk Kozaczyzny z Polską, Ostap, był towarzyszem broni Bohdana Chmielnickiego, jako pułkownik podolski i bracławski w powstaniach małoruskich przewodził nad kozakami i dawał się nieraz we znaki Polakom, aż zwyciężony przez Jana Sobieskiego, ukorzył się i przeszedł na stronę rządu polskiego, od którego otrzymał nawet godność hetmana, piastowaną aż do śmierci w r. 1679.

Jeszcze bliższym, bo bezpośrednim węzłem było to, że na rozwój duchowy Gogola wpływała już w dzieciństwie matka Polka. Ona to prawdopodobnie wszczepiła mu w duszę owo egzaltowane poczucie sprawiedliwości, które w młodym wieku wyrażało się silnymi atakami na akty niesprawiedliwości, a potem drogą ewolucji psychologicznej, zamieniły się na manję religijną. Gogol wyobrażał sobie, że, piętnując grzechy swojego społeczeństwa, powinien przedewszystkiem sam osiągnąć ideał doskonałości moralnej. Stąd już blisko do ewangelizmu, któremu jakby dla zrównoważenia materjalizmu społecznego, panującego w Rosji, ulega pod koniec życia większość wszystkich wyżej uzdolnionych rosyjskich pisarzy.

Z Drukarni Udziałowej we Lwowie, ul. Lindego 8